

Ryszard Gabryś

Związek Kompozytorów Polskich, Katowice.

W latach 70. i do roku 1981, kiedy to odsłonięto w wiślańskim amfiteatrze pomnik Jana Sztwiertni, przewodniczył Społecznemu Komitetowi Sztwiertniowskiemu, Wisła-Cieszyn

Symfonia Niedokończona

Nie jeden już raz przychodziło mi pisać o Janie Sztwiertni, rocznicowo i zwyczajnie, zawsze z serca. Ta „znajomość” z cieniem Kompozytora, ale zarazem z realnym dziedzictwem artystycznym, rękopisami i nutami publikowanymi, pamiątkami po Artyście, z Jego przesłaniami i przekazami słownymi o Nim, trwa piątą już dekadę, wystarczająco wiele, by w perspektywie lektur, koncertów i przedstawień, analiz, wczuwania się w muzykę i osobowość, umocnić w sobie przeświadczenie o wyjątkowości talentów, w jakie wyposażyla Go – obdarowując pośrednio także nas – Opatrzność i Natura, o niewątpliwej wartości i wielkości Dzieła.

Dziś prowokacja Kronosa pojawia się znowu w rocznicę szczególną, wiekową (krągłą, ergo: magiczną?) i chyba nie po raz ostatni w moim życiu, a ja, urodzony dwa i pół roku po Jego śmierci nadal nie mam, nie znajduję stosownych słów.

„O Wort, du Wort, das mir fehlt!“ – tak zrazu przypisałem tytuł niniejszym refleksjom, poniekąd przekornie i specjalnie (gwoli prowokacji?) w języku, którym traktowano Artystę w lagrze i kamieniołomach Gusen-Mauthausen w Górnej Austrii, mowie Goethego, ale i ojca muzyki nowoczesnej, Arnolda Schönberga; to od niego przejąłem wołacz: „O Słowo, Słowo, którego mi brak!”, zamykający II akt urwanej w tym miejscu partytury genialnej opery „Moses und Aron”.

I zapewne nie przypadkiem nasunął mi się Schönberg właśnie, twórca wykluczony przez naziistów, rasowo „niższy”, który nie powinien był istnieć. Impuls dało jeszcze i to, bez wątpienia, iż nie kto inny, a on wespół z uczniami wykreował torującą sztuce XX wieku nowe tropy estetyczne i kompozytorskie awangardową muzykę dodekafoniczną. Wnikając w późne zwłaszcza, pisane już z pozycji kompozytora-adepta krótko przed wojną w Śląskim Konserwatorium Muzycznym utwory i nutowe szkice, utrzymane już to w duchu chromatyki późnoromantycznej, już w stylu bliższym neoklasyce bądź impresjonistom, wielokrotnie chwytałem się z modernistyczną nadzieją na domniemaniu, iż podążyłby tą może i niszową, ale najwyższego lotu drogą. Próg wydaje się być tuż-tuż, a mnie się zdawało, że lada chwila wytropię w nutach dźwiękowe, rozwijające impuls, jaki tchnął od mistrzów tak zwanej II „szkoły wiedeńskiej”, konstelacje dodekafoniczne i ich kontrapunkty, bo ów próg naturalną koleją łatwy jest do przekroczenia od razu, w biegu twórczym, na wyższych latach studiów, jak serwowano to nam-studentom, o dwa pokolenia młodszym następcom Jana Sztwiertni w Wyższej Szkole Muzycznej w Katowicach, gdzie ma teraz – już w Akademii im. Karola Szymanowskiego – swoją tablicę. Zaszczepiał nam te nowości drugi śląskocieszyński Jan, rektor Gawlas, a zaczynaliśmy tam, gdzie stoi Jan Sztwiertnia w opusie ostatnim: cudownych i ulotnych, jakby na przekór okupacyjnemu już czasowi powstałych pieśniach do poezji Leopolda Staffa. Dobrze wiedział ich kompozytor, kim był Szymanowski, kim jest Bolesław Szabelski, kędy zmierzają współcześni Mu mistrzowie europejscy.

A skoro tak – zatem istnieje niewątpliwe *continuum*, sytuujące Sztwiertnię w roli jednego z przeseł – by się tak wyrazić – założycielskich znakomitej potem i sławnej w świecie „śląskiej szkoły kompozytorów”.



Wreszcie z fluidem Schönbergowskim wiąże się tu forma operowa, będąca w moim odczuciu jednym ze szczególnie istotnych przeznaczeń autorskich Jana Sztwiertni, był przecież – skądinąd z urodzenia i z Bożą iskrą nauczycielem, co pięknie rozwinęło w Artyście cieszyńskie Seminarium Pedagogiczne na Bobrku – nie tylko otwartym, chłonnym, rezonującym na świat jak seismograf kompozytorem, na pewno wysoce samoświadomym w kwestiach estetyki i teorii muzycznej, a jednocześnie temperamentnym publicystą o nader rozległych horyzontach kulturowych, lecz także poetą, malarzem, aktorem, reżyserem... – jednak z muzyką, po Schopenhauerowsku: u szczytu piramidy, będącą tu zarazem wspólnym, jednoczącym mianownikiem. Czyż nie są owe cechy, a Sztwiertnia nigdy talentów swoich nie zakopał pielęgnując wszystkie, pod wodzą wszakże muzyki, wspaniale i zwrotnie posprzęgane i nawzajem się potęgujące, zacznym przyszłych lotów potencjalnego Autora przedsięwzięć multimedialnych – to wyobrażalne i bardzo możliwe! – w typie nowego „Gesamtkunstwerk”, by przywołać jakże Sztwiertnię inspirującego Richarda Wagnera? Omalże widzimy, jak czyta Jan głęboko przejęty stronicę nut „*Tristana i Isolde*”, a że tak było, wiemy z Jego listów.

Cytowany, przypisany Mojżeszowi, wers wiedeńskiego geniusza, wyrażony został śpiewomową (*Sprechgesang*) w dziele datowanym na lata 1930–1932. Sztwiertnia to wówczas na razie muzyk-pasjonat znacznie jeszcze przed regularną nauką kompozycji, dwudziestolatek, nuto-dawca wodewilu beskidzkiego „*Salasznicy*”, wypróbowywanego siłami amatorskimi. Jakże daleko z owej skromnej śpiewogry, tradycyjnej w muzycznym języku, acz potocznej, wartkiej, zadziwiającej inwencją melodyczną i jakby „chorałowymi” nieco (pisał to... „luter spod Cieszyna”!) chórami i harmoniami, do arcyopery Schönberga. A jednak to, co zdarzyło się w ciągu jednej dekady i co obserwujemy w tece kompozytorskiej Sztwiertni, każe powiedzieć: „Kapelusze z głów, panowie”. Wątek użytkowy, szkolny, śpiewaczy, kościelny dla „najbliższej okolicy” nie przeszkodził drażnieniu mowy dźwięków i poszukiwawczych ścieżek artystycznych! Wierzę, iż czujna korelacja źródeł rodzimych z trendami światowymi przyniosłaby – już niosła! – oryginalną i wielką, jedyną „taką Muzykę”, niezależnie nawet od wyboru materii akustycznej, warsztatu i technik kompozycyjnych, aż po *sonoryzm* odświeżony wrażliwością na brzmienia instrumentarium góralskiego, na ich naturę, i wreszcie po studyjne rozwiązania elektroniczne, kto wie? Wcale bym tego nie wykluczał! Nie trudno wyobrazić sobie „*Śpiących rycerzy w Czantorii*” – a szkoda straszna, że ten poemat symfoniczny zaginął – osiedlających się w elektronicznym *eticum* akustycznym!

Gdybyż wyjechał choćby krótko przed wybuchem wojny, już powiadomiony, iż otrzyma stypendium artystyczne do Paryża za sprawą autorskiego koncertu-wydarzenia (później dopiero Henryk Mikołaj Górecki dostąpi jako student katowickiej Uczelni podobnego uhonorowania koncertem monograficznym i niedługo później nawiedzi w Paryżu) przyznane z puli Województwa Śląskiego na studia doskonalące. Niedawno przetarł ów trakt Michał Spisak, kompozytor z tegoż pokolenia, który dzięki Paryżowi – ocalał. Janowi zabrakło ledwie paru bodajże miesięcy, po wakacjach A.D. 1939.

Może i o tym Losie powiemy – w trybie alternatywnym, a więc o potencjale niedopełnionym p o t e n c j a l e oraz prawdopodobnej stylistyce niedoszłych już niestety (a i tych, które zaginęły) artystycznych dokonań – podczas uroczystości Stulecia Urodzin, na marginesie obiektywnego, ściśle fachowego podejścia analitycznego do muzyki, naukowej egzegezy dokumentów, wnikiwie i dopowiedzeń biograficznych, czy to na sesji, czy przy okazji koncertów, i oczywiście w przyszłym pokłosiu – tomie rozpraw i komunikatów.

Jak „oswoić” tę Tradycję, dramat życia, Muzykę i Mit, jak budować pamięć o Człowieku żywą i pobudzającą? Nadal regionalną, lecz już – coraz mocniej ogólnopolską? Rzecz oczywista, najpierw wydawnictwami, publikacją kompletu nut kompozycji zdefiniowanych i również kilku wymagających rekonstrukcji, a bardzo ważnych. Dalszymi nagraniami – i to przez rosnący krąg śpiewaków, instrumentalistów, zespołów. Wprowadzeniem haseł do ogólnokrajowych bio-encyklopedii. Został już Sztwiertnia kompetentnie przedstawiony piórem prof. dr hab. Magdaleny Dziadek w gdańsko-warszawskim słowniku „*Kompozytorzy polscy 1918–2000*”, trzeba też koniecznie, aby znalazł się w aneksie poszerzającym kluczową i w wielu tomach „*Encyklopedię Muzyczną*” publikowaną od dekad przez Polskie Wydawnictwo Muzyczne w Krakowie, na razie tam – nie do usprawiedliwienia! – pominięty.

Oczywiście jesteśmy już daleko od sytuacji, w której Jerzy Drozd mówi w samym tytule artykułu drukowanego na łamach „*Głosu Ziemi Cieszyńskiej*” przed półwieczem (z 26 maja roku 1961) o „*Janie Sztwiertni – n i i e z n a n y m kompozytorze śląskim*”.

Zasługa to najpierw przyjaciół z Jego generacji, ale też paru już późniejszych pokoleń „Sztwiertniowców”, zaszczyconych Janem w szczególności przez autora ważkich wspomnień o kompozytorze, Stanisława Hadyńę, w latach 30. minionego wieku ucznia dzisiejszej cieszyńskiej Szkoły Muzycznej na Zamku, która krótko lecz intensywnie współkształtowała również Jana Sztwiertnię, i przez Jerzego Drozda, który swoje reminiscencje o druhu młodości uzupełnił w folderze szkolnym z roku 1959 wyjściowym dla nas – niejako „z pierwszej ręki” – indeksem zachowanych i ocalonych rękopisów. Notabene – był Drozd prawykonawcą wspomnianego tryptyku Staffowskiego.

Lecz oto i mamy już pierwszą książkę w całości traktującą o twórcy „*Pieśni nadolziańskich*”, a jej autorowi, znakomitemu tenorowi Hubertowi Miśce, kiedyś uczniowi Drozda, zawdzięczamy również kompakt i edycję z *completorium* Sztwiertniowego pieśniarstwa solistycznego. Udało się wprowadzić tryptyk Staffowski w nagraniu Miśki z Januszem Polańskim na prestiżową antenę II Programu Polskiego Radia. Wkrótce ukaże się w Instytucie Muzyki UŚ studyjna i krytyczna edycja „*Salaszników*”, którzy po pięknych i pieczołowitych spektaklach przygotowanych przez „Ziemię Cieszyńską” pojawili się rok temu w znowelizowanej wersji w repertuarze Zespołu z Koszęcina – „Śląsk”, który rocznicę Sztwiertniowską uczci 5 czerwca w Wiśle „*Salasznikami*” przysposobionymi przez Jeana-Claudea Hauptmana. Przedstawienie z pierwszego rzędu w amfiteatrze obejrzy pomnikowy już Stanisław Hadyńa, stojący zaś nieopodal Jan Sztwiertnia – mówię o popiersiu dłuta Jana Hermy – słuchał będzie w symbolicznej wspólnocie z przyjacielem, twórcą „Śląska”, inkarnacji swej partytury. Odnotujmy ponadto, że znalazło się miejsce dla Sztwiertni-męczennika, lecz zarazem jako Artysty, na wystawie przeznaczonej także dla widzów za granicą, „*Muzyka w okupowanej Polsce 1939–1945*”. Ekspozycja, której kuratorką z polskiej strony była dr Katarzyna Naliwajek-Mazurek, przygotowana została w uczelnianym Instytucie Muzyki, ulokowana zaś w Bibliotece Uniwersytetu Warszawskiego, i towarzyszyła 53. Międzynarodowemu Festiwalowi Muzyki Współczesnej „Warszawska Jesień”.



Wierzę, iż warto dziś restytuować Towarzystwo Muzyczne im. Jana Sztwiertni, działające przez niedługi okres w oparciu o Filię uniwersytecką oraz cieszyńską Szkołę Muzyczną im. Ignacego Jana Paderewskiego (projekty uśmierzył stan wojenny) a będące kontynuacją Społecznego Komitetu Budowy Pomnika Kompozytora w Wiśle-Centrum, jako też różnych wcześniejszych rocznicowo-organizatorskich gremiów przygotowujących koncerty i inne przedsięwzięcia *pro memoria*.

Nie ulega dla mnie wątpliwości, iż niezwykle „Warszawsko-Jesienne” forum, nasze „pierwsze okno” na fora światowe i „punkt przecięcia” dróg, którymi podąża *musica nova*, sprzyjałoby Janowi Sztwiertni, inspirowałoby Go i wiele mu jednocześnie zawdzięczało. Gdy festiwal startował, a po socrealistycznej kwarantannie kompozytorzy nasi „wybuchli” talentami, nowatorstwem, dziełami, rok był zresztą w kraju przełomowy: 1956, Wiślanin (z Wisły dojeżdżał na studia do Katowic) dobiegłby do p i e r o 45 roku życia, zatem w pełni sił i dynamiki twórczej, skryzalizowawszy styl indywidualny, kroczyłby ramię-w-ramię wspólnie z innymi kompozytorami-odkrywcami ze „swojej” przeciwnej generacji Witolda Lutosławskiego, ustalając kanony estetyczne i reguły gier dźwiękowych, a że zawsze gorący, „sejsmograficzny” społecznik, z pewnością nie poprzestawałby na kunsztownych abstraktach akustyczno-estetycznych, współbudując „muzykę Ducha”, sztukę metafizyczną, poszukującą Transcendencji, muzykę Dobra i Prawdy, czego jasnowidzenia (jasnosłyszenia) niesie już niejedno *juvenilem*. Zawsze i twardo w nurcie *musica humana e sacra*.

Gdyby...!

Lecz spostrzegłem właśnie, już domykając tekst, chociaż raczej otwiera i proponuje subiektywnie wybrane wątki, iż aby dookreślić Twórcę, używam od pierwszego akapitu – dopiero teraz się zreflektowawszy – dużych liter! Charakterystyczne, lecz to doprawdy nie hagiografia.

Spuścizna Janka z Beskidu, jak pieścizliwie i omalże prywatnie, po matczynemu, nazywała Artystę ustrońska rodaczka, Maria Skalicka, w której intencjach, a po jej śmierci w darowanych Ustroniowi „Zbiorach...” (Brzegi, Trzeciego Maja) historyczna obecność Autora „Salaszników” akcentowana jest – może to nawet *sui generis* kult, legenda pokoleniowa zapoczątkowana dokumentalną prozą wspomnieniowo-obozową ks. biskupa Andrzeja Wantuły „Na dzień” (1947) i przynajmniej sześcioma, tyle znam, niemałego formatu wierszami „dla Sztwiertni” *ex post* – szczególnie mocno i wyraziście.

To przyzmat martyrologiczny, nośny poznawczo, wciąż bolesny i trudny, wszak nadzwyczaj istotny. On sprawił, że dobrałem temu dywagacyjnemu myśleniu na głos nagłówek nie z Schönberga (poniekąd egocentryczny, bo to... *ja* nie potrafię znaleźć odpowiednich słów na coś, co przekracza *moją* wyobraźnię) a... kojarzący się jakoś naturalnie z Franzem Schubertem i zharmonizowany z Janem Sztwiertnią, o obu jednak świadczący.

Z przekazów dookólnych wnosić można, że tryptyk do wierszy Staffa, ostatnie zachowane opus, poprzedził pieśń naprawdę definitywną, nieznaną nam dzisiaj: „*Hymn więźniów*”, autorstwa „numeru 6567”. Autobiografizm jako wziernik w Dzieło? Czemu by nie, bardzo się nam tutaj również taka opcja dynamizująca przyda! Wydaje się, iż przy całej asemantyczności dzieł muzycznych Sztwiertnia komponował nade wszystko to i o tym, co przeżywał, jak żył, pamiętając – z perspektywą czasu przyszedłego – o *hic et nunc*. Często pisał wprost dla bliskich, personalnie nawet, na „już” dla swego „Echa”, powiedzmy, i sercem. Warsztat wciąż doskonałony pozwalał co i raz przekraczać doraźność czasu i nieuchwytność przemijania. Co nie mniej ważne, także w „zimno” analitycznych (lecz jakże przykładających je do tak żarliwej twórczości, zaraz się rozjarzą!) i skalpelowych kategoriach muzykologicznych, kiedy wchodzić będziemy warstwami w czysto muzyczne trzewia i idee, w zasady konstrukcji mikro- i makroformalnej, w narracje Sztwiertni, w Janową energetykę, rodzaje ekspresji, a potem w konteksty stylistyczno-estetyczne, układy z tradycją, z Jego epoką, z kierunkami w sztuce dopiero nadchodzącymi, w związku dźwięku z poetyckim słowem, okaże się również wtedy, iż ta Sztuka broni się autentyzmem, szczerością, skrzy bogactwem rozwiązań wielorakimi wektorami inwencji i wyrazowości, artystyczną Prawdą, empatią... – genem do geniuszu.

Vita brevis, Ars – longa.

I oto znowu, ponad Czasem i Śmiercią wspólnie z Nim

*„...wiosłujemy przez skrzypy widłaki
przez szumny szum poprzez dźwięk
jak przez rzekę
białych głosów
po siódmy klucz skrzypcowy losu ...”*

(Z poematu Wilhelma Przeczka „*Tercet Janowi Sztwiertni – twórcy „Salaszników”*”)

Maj 2011